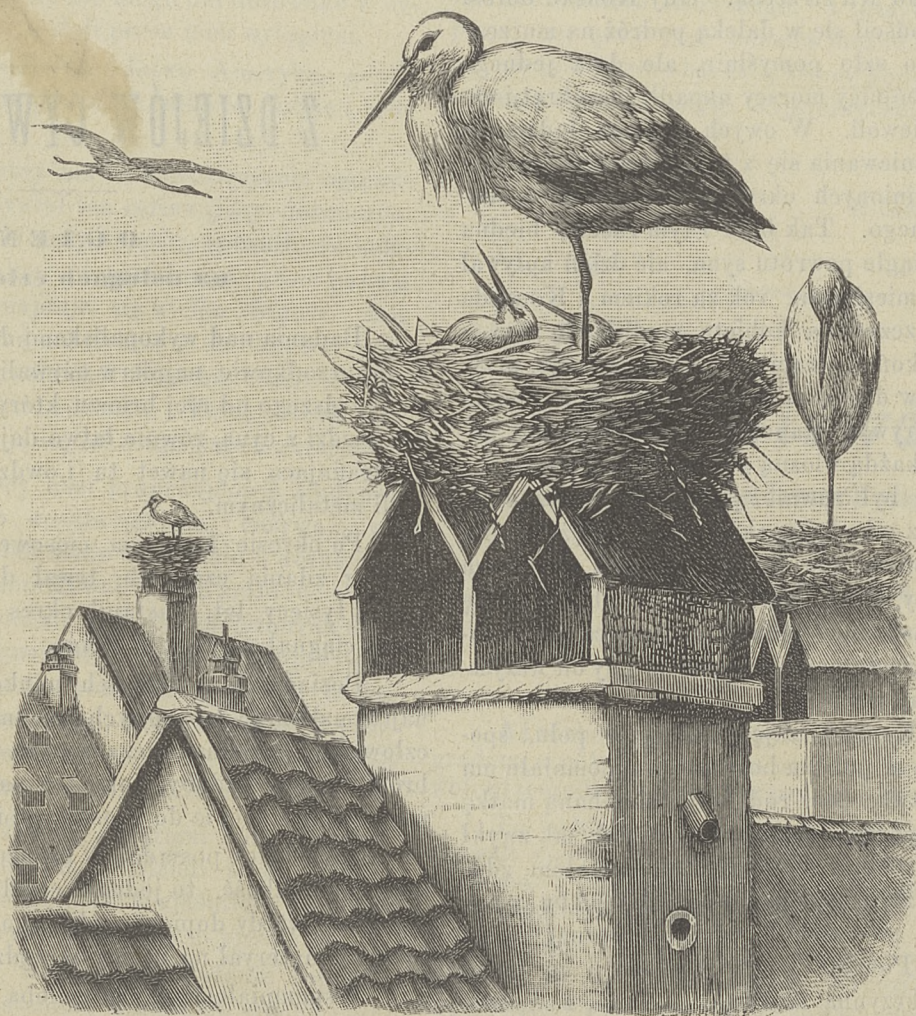




# WIECZORY RODZINNE

Dnia 28-go Czerwca (10-go Lipca) w Abas-Tumanie spoczął w Bogu Jego Cesarska Wysokość Następca Tronu Cesarzewicz i Wielki Książę Jerzy Aleksandrowicz. Śmierć Jego Cesarskiej Wysokości nastąpiła z powodu nagłego silnego krwotoku gardła.



# BOCIANY.

**S**tary czy młody, ubogi czy bogaty, pan czy wyrobnik, z radością wita powrót bocianów, jako zwiastunów upragnionej wiosny. Ptaki te u naszego ludu są w takien poszanowaniu, że zabicie ich za grzech poczytywane bywa a „sprowadzić bociana” znaczy szczęście do domu sprowadzić. Stąd po wsiach na wierzchołkach drzew, na szczytach dworców i chałup, a najczęściej na stodołach zaciągają, koła z przygotowanym gniazdem, do którego kładą często kawałek lusterka w przekonaniu, że ono połyskiem swoim przywabi ulubionego ptaka do zagrody.

Nietylko u nas jednak bocian jest przedmiotem osobliwego upodobania; wszędzie obchodzą się z nim względnie jako z tępicielem żab i gadów, a w Norwegii jest nawet podanie że ptak ten wyratował z niedoli chłopca, okazującego mu życzliwą troskliwość. Oto co opowiadają:

W jednej z wiosek tego kraju żyła nigdyś biedna wdowa, której całą pociechę był synek, Konrad. Chłopiec lubił bardzo zwierzęta, nie dokuczał im nigdy, a największe starania niósł zawsze bocianom, siadającym rok rocznie na gnieździe, usłanem nad ich strzechą. Gdy Konrad dorósł został marynarzem i puścił się w daleką podróż na morze.

Z razu wszystko szło pomyślnie, ale dnia jednego w pobliżu Afryki, rozbójnicy morscy napadli na okręt i całą załogę wzięli do niewoli. W owych czasach ludzie nie mieli środków porozumiewania się z taką łatwością jak dzisiaj, więc wieść o zaginionych okrętach nie zawsze dochodziła do kraju rodzinnego. Tak było i tym razem; biedna wdowa wyczekiwała ciągle powrotu syna, ale dzień upływał za dniem, miesiąc za miesiącem, rok za rokiem a Konrada nie było widać. Nieszczęśliwa kobieta modliła się gorąco o ten jego powrót, w końcu straciła wszelką nadzieję, przypuszczając, że zginął w drodze. W smutku i osamotnieniu jedyną chwilową rozrywkę stanowił dla niej ulubiony bocian jej syna, który z każdą wiosną powracał do gniazda.

Biedny Konrad był również pogrążony w rozpacz, nie spodziewając się z nikąd ratunku. Żył w ciężkiej niewoli w miejscu oddalonym, nie widząc nikogo z wyjątkiem swego pana i ciemiężcy, który, jako poganin, obchodził się z nim bez litości. Opatrzność jednak czuwająca nad człowiekiem, udziela mu często pomocy w chwili, gdy on wszystko dla siebie uważa za stracone.

Dnia jednego, Konrad, zajęty pracą w polu, spostrzegł przelatującego w pobliżu bociana; przypomniało mu to czasy jego dzieciństwa, dom rodzinny, ukochaną matkę i dawnego skrzydlatego towarzysza. Zagwizdał, jak zwykł niegdyś gwizdać na swego bociusia, i z niemałym zdumieniem ujrzał ptaka zbliżającego się szybko, jakby z rąk jego chciał otrzymać pożywienie. Konrad poznał swego starego przyjaciela! Powitał go z radością i ze łzami w oczach wznosił dziękczynną do Boga modlitwę za tę niespodzianą pociechę.

Zasmucił się dopiero, gdy nadeszła chwila odlotu bocianów na północ. Gdzie pociągnie wierny jego towarzysz? Czy powróci pod ich strzechę do Norwegii? Kto go tam będzie witał? Kto go nakarmi? Nagle przyszła mu myśl szczę-

śliwa: bocian mógłby stać się jego wybawicielem. Skreślił słów kilka donosząc o ciężkiej doli swojej i miejscu pobytu, a kawałek papieru z temi wyrazami przywiązał mocno do nogi ptaka, polecając posłannika swego opiece Boga.

Z nadejściem wiosny bocian powędrował w znajomą stronę, do dawnego gniazda. Biedna wdowa ucieszyła się widokiem ulubionego ptaka Konrada. Powitała go radośnie i wyciągnęła rękę dla nakarmienia strudzonego wędrowca. Gdy tylko zbliżył się do niej, zauważyła zaraz przywiązany do jego nogi zwitek papieru i można sobie wyobrazić jak była szczęśliwą odczytawszy skreślone na nim wyrazy. Pospieszyła z niemi do proboszcza; na wieść pożądaną zbiegli się mieszkańcy całej wioski, oznajmiając jednomyślnie, że muszą wykupić z niewoli biednego Konrada.

Następnej niedzieli po nabożeństwie, każdy wedle możliwości składał oszczędzony swój grosz na okup niewolnika. Z zebraną kwotą udano się do króla, prosząc o skuteczne poparcie w tej sprawie. Król przychylił się do żądania poczciwych wieśniaków i zanim bocian odleciał jesienią Konrad wyswobodzony i szczęśliwy znajdował się już pod własną strzechą, obok ukochanej i rozradowanej z powrotu jego matki.

## Z DZIEJÓW CYWILIZACYI.

OGIEN

na usługach człowieka.

Badania nad wykopaliskami dowiodły niezbitcie, że nasi przaprzodkowie najpierw używali miedzi, a potem dopiero twardszego od niej bronzu, który otrzymali przez stopienie miedzi z cyną, równie łatwo dającą się otrzymać z rudy, na trafiającą się nawet tu i owdzie w stanie rodzinnym, czyli metalicznym.

Po okresie kamienia ciosowego i gładzonego, który według zdania czarnych, trwał dziesiątki a może nawet i setki tysięcy lat, nastąpił okres miedzi i bronzu, który także ciągnął się bardzo długo.

Posiadamy w zbiorach naukowych niezliczoną ilość najrozmaitszych bronzowych przedmiotów, wykonanych ręką człowieka przedhistorycznego są pomiędzy niemi, oprócz broni i tarcz, ozdoby, jako to: naramienniki, bransolety, paciorki, grzebienie do włosów, szpilki i t. d.

Jakkolwiek posiadanie bronzu posunęło niezmiernie naprzód ludzkość, to jednak cywilizacja prawdziwa mogła się zjawić wtedy dopiero, gdy poznano żelazo, nieoceniony i jedyny materiał na broń i narzędzia.

Wspomniałem już, że z nieba spadają czasami kawały prawie czystego żelaza, tak np. z dalekiej północy przywieziono niedawno olbrzymią bryłę tego kruszcu, znalezione na wybrzeżach wyspy Grenlandyi.

Dzieci mieszkańcy tanych okolic, Eskimosi, przez długi czas używali tego żelaza na wyrób noży i grotów.

To samo mogło się zdarzyć i gdzie indziej. Najprawdopodobniej jednak człowiek przedhistoryczny doszedł do poznania żelaza przez prażenie rudy w ognisku; sposobu tego używają do dziś dnia w głębi Afryki Murzyni, którzy nigdy nie stykali się z białymi ludźmi. Być może także, iż kruszec ten dostał się do Europy z dalekiego wschodu, z Chin, przez Egipt.

Sprawa to podrzędna; dla nas wystarczy przekonanie, że człowiek znalazł się w posiadaniu kruszców dzięki ognio-  
wi; bez ognia bowiem obrabianie rud jest zgoła niemożliwym.

Wraz z wprowadzeniem żelaza kończy się okres bronzowy a rozpoczyna epoka żelaza, w której obecnie żyjemy.

Nie sądziśmy tylko, że przewrót ten odbył się odrazu; przeciwnie, przejście z jednej epoki do drugiej wymagało bardzo długiego przeciągu czasu, i nie nastąpiło jednocześnie na całym obszarze ziemi. Ściśle rzeczy biorąc, dziś jeszcze tu i owdzie trwa okres kamienny; żyją w nim niektóre dzikie ludy. Tak np. Australczycy, przed stu laty, w chwili, gdy Europejczycy po raz pierwszy zetknęli się z nimi, nie znali wcale metali; to samo da się powiedzieć o Indianach, zamieszkujących wewnątrz południowej Ameryki i o niektórych osadach północno-azjatyckich i wyspiarskich. Brak żelaza sprawił, że nie mogli oni dorównać w cywilizacji Europejczykom i zostali przez nich wytepieni.

Czyżby Hiszpanie podbili tak łatwo Amerykę, gdyby nie to, że posiadali żelazne pancerze, miecze, kopyta i broń palną.

Ale człowiek starożytny ma do zawdzięczenia ognio-  
wi daleko więcej jeszcze. Żywił ten rozlewający dobroczynne ciepło i tak pożądane w nocy światło, sprawił, że ludzkość mogła osiedlać się w krajach północnych, gdzie panują ostre zimy, a zwierzyny znajduje się wielka obfitość. Bez ognia nie byłaby mieszkalną ani Syberya, ani krainy, położone na północy Ameryki; człowiek chcąc nie chcąc, musiałby przebywać tylko w pobliżu równika. Tutaj jednak noce są bardzo długie, a lasy roją się od drapieżnych zwierząt.

Podczas długich nocy nasi prapraojcowie siadywali pospołu dokoła płonącego wesoło ogniska, i zażywając zasłużonego wczasu, opowiadali sobie wzajemnie o doznanych na łowach przygodach, komunikowali sobie zrobione w ciągu dnia spostrzeżenia; słuchali rad doświadczonych starców, układali pieśni o znakomych czynach swych przywódców i przodków, a wreszcie dla rozrywki wyrzynali na kawałku kości czyli rzeźbili zwierzęta, które widywali w puszczy. Były to pierwsze początki tego, co nazywamy dziś literaturą i sztuką; narodziny poezyi, rysunku, rzeźby.

Dzicy współcześni są żywymi obrazami ludzi przedtopowych, jeślibyśmy nawet nie wiedzieli tego co wiemy o człowieku jaskiniowym, to ich życie rozjaśniłoby nam niejedną zagadkę, dotyczącą naszych odległych przodków.

Ogień przyczynił się także do pomnożenia zapasów żywności, gdyż wędzenie stanowi doskonały środek przechowywania ryb i mięsa. Kiedy łowy powiodły się nadspodziewanie, tak, iż plemię nie zdołało w przeciągu paru dni spożyć upolowanej zwierzyny, wtedy można było część jej uwędzić.

Ryby wędzone i suszone są podstawą bytu narodów dzikich, zamieszkujących Syberję. Dzięki też ognio-

człowiek zaczął używać na pokarm nasion rozmaitych, traw zbożowych, dziko rosnących. Kobiety australskie dziś jeszcze zbierają dziki ryż, ucierają go w kamiennych żarnach i pieką z tak otrzymanej mąki podpłomyki, będące najpierwotniejszą formą chleba. Dowodzi to, iż nasi przodkowie przez długie czasy spożywali już pieczywo, zanim wpadli na myśl uprawy zboża na polu, t. j. zanim z myśliwych koczowników, przedzierzgnęli się w osiadłych rolników.

Człowiek rychło pojął korzyści wynikające z uprawy zbóż i roślin pożywnych w ogólności. Polowanie nigdy nie stanowi pewnego środka utrzymania; gdy wyprawa myśliwska zakończy się niepowodzeniem, dziki cierpi głód nieraz przez kilka dni z rzędu. Daleko lepiej żyje pasterz, który ma dostatek mięsa i mleka ze swych trzód, stąd, chociaż i jemu grozi nieraz klęską susza, pomór bydła i nieurodzaj trawy. Najbardziej niezależne życie prowadzi rolnik, który czerpie swoje zasoby z uprawy zboża lub ogrodnictwa, nie wyrzekając się zarazem hodowli zwierząt domowych i polowania. Będąc zmuszony czekać przez całe lato i zimę na zbiory, czy się on przezorności, staje się pracowitym, pomnaża ciągle swoje bogactwo. Przebywając ciągle na jednym miejscu, buduje wygodny dom, zamiast przenoszonego szałas z gałęzi lub namiotu skórzanego. I tutaj ogień wyświadcza mu przysługę; przy jego pomocy można prędko wykarczować las, użyźnić jeszcze bardziej ziemię popiołem, on też wreszcie pozwala wyrabiać cegłę, najpraktyczniejszy materiał budowlany.

(d. c. n.)

Władysław Umiański.

## Jan Niewdzyd

Powieść z dawnych czasów

przez

Z. Morawską.

(Dalszy ciąg).

Aż niebo ulitowało się nad niemi i sypnęło najpierw gradem, a później deszczem wielkim, kroplistym, który powoli przeszedł w rześistą prawdziwie czerwcową ulewę.

To ochłodziło walczących, pokonani siłą przyrody, usuwali się do namiotów, uciekali przemoknięci na przedmieście, cisnąc się do mieszkań i zaułków, nie szcędząc sobie przytem wymysłów ni kłąt.

Na szerokim polu, około szopy i pod szopą znaleźli się tylko ci, którzy srodze poranieni ruszyć się nie mogli, lub ujęci snem śmierci zawarli na zawsze powieki.

Gdy wszystko ucichło i noc nadeszła, z rowu okalającego pole wychyliła się postać człowiecza.

Pełzała na czworakach stękając głucho! Odzież podarta, włosy najeżone pełne ucepionych korzeni i roślin, twarz zamazana błotem, z której świeciły malcúkie, okrągłe wystraszony oczy, czyniły go podobniejszym do potwora niż do istoty ludzkiej.

Tem więcej zaś człowieczeństwo jego podawane mogło być w wątpliwość, że jednocześnie z nim, rechocząc trwożliwie, wyskoczyło z rowu czworonożne klapouche z najeżoną sierścią stworzenie, a za niem kilkoro prosiąt, które kwicząc żałośnie popędziły za uciekającą przez pole ubłoconą swinia.

Towarzyszki niedoli przestraszyły znać nieszczęśliwego człowieka; przypadł bowiem jeszcze więcej twarzą ku ziemi, dopiero gdy kwiczenie i rechotanie ucichło, podniósł głowę, a nareszcie i całą swoją postać. Obejrzał się dokoła, westchnął głęboko i począł iść szybko, o ile pozwoliły mu na to poturbowane niewygodnym schronieniem członki.

I któżby w tym nieszczęśliwym mógł poznać pana Fortunata Próżnołęckiego. Zawsze napuszony w otoczeniu dworaków, teraz rozglądał się tworźliwie, chcąc podążyć do swego namiotu. Próżne jednak były jego usiłowania, przemyślny Stępka, widząc, że pan jego gdzieś zniknął, jeszcze podczas trwającej walki, kazał zwinąć namiot, ładować wozy i teraz cichaczem wymykał się do domu.

I byłoby mu się doskonale udało, bo nikt na niego nie zważał, 'gdyby mu droga nie wypadła akurat około rowu, z którego właśnie co tylko wydostał się jego chlebobdawca.

Próżnołęcki usłyszawszy skrzyp ładownych wozów, począł wołać w niebogłosy:

— Ratunku! ratunku!

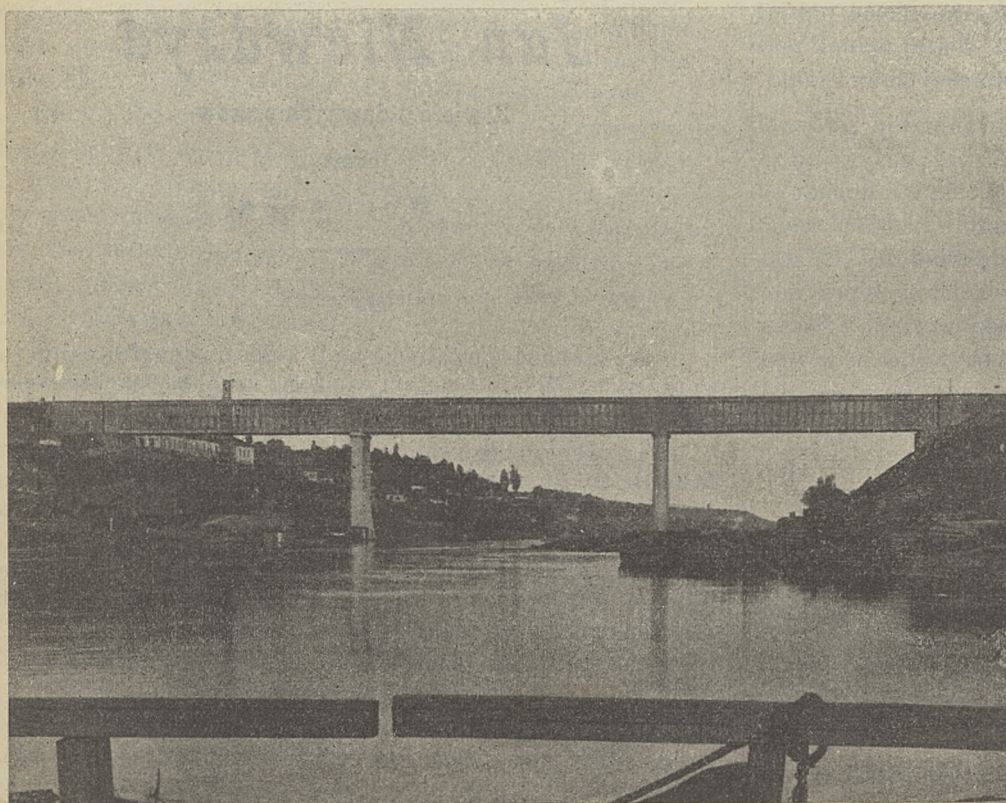
I to nie wiele byłoby może pomogło, lecz Próżnołęcki poznawszy turkot i skrzyp dobrze sobie znany, krzyknął z całych sił:

— Stój! to ja starosta, stój!

Woźnica, powożący kolasą, usłyszawszy głos pana, wstrzymał konie, toż samo uczynili jadący za nim, a Stępka, chociaż niechętnie, zeszedł jednak z wozu i płaczkliwym pełnym współczucia głosem zawołał:



Kościół farny w Grodnie.



Most kolejowy pod Grodnem.

— Ach, jaśnie wielmożny starosto, teraz mogę już umrzeć spokojnie, kiedy oczy moje oglądają jeszcze mego ukochanego pana!

— Poczciwy, poczciwy, mój Stępka! — mówił, postępując i gramoląc się do swojej kolasy Próżnołęcki.

— Jeść, pić! — wołał słabnącym głosem.

Znalazła się zaraz w kieszeni fiaszka, którą pan Fortunat z wielką chciwością do ust przyłożył.

Kolasa tymczasem i wozy na rozkaz podskarbiego ruszyła dalej.

— Pośród tej całej zawieruchy tyle się namnożyło łotrzyków, że chciałem odwieźć kawałek to, co pozostało i powrócić, aby bodaj z narażeniem życia szukać jaśnie wielmożnego starosty — mówił z rozrzewnieniem Stępka, okrywając własną opończą obłoconego pana Fortunata.

— Com ja się naszukał, nawet pomiędzy rannymi szukałem jaśnie wielmożnego starosty — mówił z rozczuleniem podskarbi.

Tak, tak, mój Stępko, dużo dziś przecierpiałem, com ja się napracowałem, com nagadałem! ale to wszystko pro publico bono! — powiedział Próžnołęcki, układając swe zbolące członki w wygodnej kolasie.

— Znałe przecie wszystkim poświęcenie jaśnie wielmożnego starosty — odrzekł podskarbi, udając, iż nie pamięta jego przestępstw, ogłupienia i ucieczki, rzeczywiście z narażeniem życia, na sam widok rozpoczętej walki.

— A tu jeszcze ten Niewdzyd doprowadził takich jak sam łotrzyków i korzystając z zamieszania i nieobecności jaśnie wielmożnego starosty poczęli plądrować po namiocie i wozach.

— Co ty mówisz, mój Stępko? — ozwał się ze zdziwieniem Próžnołęcki.

— Prawdę, niestety smutną bardzo prawdę! — kłamał bez zająknięcia podskarbi.

z mienia pana Fortunata, złożyć na nieobecnego, a Bogu ducha winnego Niewdzyda. Wreszcie zasnął i podskarbi, kołysała go miła nadzieja, że wkrótce zaokrągli swą fortunę i nie licząc się wcale z sumieniem, będzie już mógł żyć spokojnie.

## VI.

— Jeżeli wola jego królewskiej mości wypadłoby pokazać się w oknie szlachcie, i rzec osobiście jakieś słowo — mówił Jędrzej Olszowski podkanclerzy koronny do siedzącego w wielkiej zadumie Michała Wiśniowieckiego, który zaledwie od dwudziestu czterech godzin dzwigał na swoich barkach dostojność królewską.

W miejsce odpowiedzi nowy monarcha pokiwał tylko głową i zakrywając dłońią usta, ziewnął szeroko.



Wścigi na stepie meksykańskim.

— Taki mi się wydawał uczciwy ten chłopak...

— Tak, tak, ostrzegałem, bom ja się zaraz na nim poznałem — rzekł Stępka. — Jaśnie wielmożny pan przez dobre serce każdemu zaufa, a teraz nawet nie mogłem na razie dostrzedz, co i ile ten łotr zrabował — ciągnął dalej stary niegodziwiec.

— No, no, kto by to pomyślał — mówił sennym głosem, pokrępiiony winem po całodziennym poście i trudach, Próžnołęcki.

I wkrótce nocną ciszę przerywało głośnie chrapanie oznajmując, że w tej chwili zany starosta zapomniał nie tylko o dobru publicznym, lecz zgoła i o całym świecie.

Kolasa i wozy toczyły się dalej bez najmniejszej przeszkody; ludzie gawędzili przyciszonym głosem, żałowali Dyny, którego znaleźli przy pakowaniu rzeczy zagrzebanego w sianie, lub lrzemali kiwając się na wszystkie strony. Czuwał tylko podskarbi, obliczając zyski, jakie mógł osiągnąć z całej tej wyprawy. Namysławiając się też ileby ubytku

— Szlachta przelewała krew i kosztem własnej krwi utrzymała jego królewską mość na tronie — mówił Olszowski, z pewną niecierpliwością w głosie.

— Nie dobijałem się o koronę — odrzekł obojętnie Michał.

— Niemniej jego królewska mość ją otrzymałaś, — wycedził przez zęby Olszowski, opierając się silnie rękami na poręczy wysokiego krzesła, jak gdyby na nim chciał wyrzucić swą niecierpliwłość, którą starał się miarkować w obecności nowo-obranego króla.

— Ten cały obiór raczej na żart zakrawa — rzekł król wzruszając ramionami. \*)

— Naród dla żartów krwi nie przelewa! — rzucił podkanclerzy gorąco.

Nastąpiła chwila milczenia.

Król wstał z wielkiego fotelu, założył w tył ręce i po-

\*) Historyczne.

## WZAJEMNA POMYŁKA.

POWIEŚĆ

p. Teresę Jadwigę.

(Dalszy ciąg).

czął się przechadzać po komnacie nowego swego mieszkania, przystając jednak co chwila i przypatrując się wiszącym na ścianie portretom. Podkanclerzy zaś przypatrywał się królowi i śledził jego ruchy, jakby chciał z nich wyczytać jego myśli i postanowienia na przyszłość.

Badanie to nie wypadło na korzyść króla, gdyż po wyrazistej twarzy Olszowskiego odbiła się niechęć, a nawet pogarda.

Szarpnął niecierpliwie bogaty biskupi łańcuch, zdołbiący piersi jego i rzekł:

— Niech wasza królewska mość przypomni sobie tylu rannych, których zebraliśmy na polu. Między nimi są młodzieńcy, którzy mogliby krew swą zachować na obronę kraju, a przeleli ją dla utrzymania waszej królewskiej mości. Jest jeden młodzieniaszek, który jeszcze z lat pańchołęcych nie wyszedł..

— A prawda, mówiono mi, że nawet dzieci przyprowadzono pod szopę — rzekł Michał z uśmiechem. — Chciałbym widzieć tego młodzieniszka, a może dałoby się jego gorliwość wynagrodzić — dodał, ożywiając się nieco.

Olszowski jak gdyby chciał skorzystać z tego ożywienia i zająć się losem rannego młodzieńca, odrzekł skwapliwie:

— Opatrzoną ma ranę, mogę go jego królewskiej mości przedstawić.

I nie czekając, uchylił drzwi do sąsiedniej komnaty i wydał stosowne polecenie służbowemu oficerowi, ten powtórzył je lokajowi i rozkaz poszedł zwykłym porządkiem.

Tymczasem zręczny podkanclerzy obznajmiał Michała ze stanowiskiem, jakie mu kazano zajmować i obowiązkami, które nań włożono. Musiał więc wysłuchać wielu projektów i podpisać kilka papierów, podsuniętych mu przez podkanclerza, pragnącego korzystać z tego poufnego sam na sam.

Lecz to sam na sam tak pożądane dla Olszowskiego i konieczne dla spraw kraju, mniej znać było przyjemnem dla króla. Wstawał, przechadzał się, tłumiąc ziewanie, które zwykle go napadało, gdy rzeczy szły nie po jego myśli lub musiał wyteżać umysł na sprawy, z którymi nie był obznajmiony.

Z niecierpliwością więc wyglądał przybycia owego rannego młodzieńca, który go miał uwolnić od nużącej i nudnej rozmowy.

W godzinę zaledwie wszedł znany nam Niewdźyd. Miał rękę na temlaku, twarz pobladłą, lecz dzielną i pewną siebie postać, która pomimowoli pociągała ku sobie jakąś siłą, co to nie byle komu ulega. Król chwycił się przybyłego jak deski zbawienia.

Zwrócił się więc zaraz ku stojącemu przy drzwiach Niewdźydowi i z pominięciem nawet form przestrzeganych na dworze królewskim postąpił ku młodzieńcowi kilka kroków. Ale Olszowski baczny na każde ruszenie wprowadzonego na tron przez siebie króla, spojrzął nań swym przenikliwym wzrokiem. Michał zatrzymał się chwilę, lecz nagle jak uczeń, który chce się wyłamać z pod władzy opiekuna, udał, że tego wzroku nie widzi i nie rozumie, a przystąpiwszy do spoglądającego ciekawie młodzieńca, rzekł swym bezdźwięcznym głosem:

— Otrzymałeś za mnie ranę, winienem ci wynagrodzenie.

Niewdźyd oblał się rumieńcem.

— Czego on chce? — pomyślał sobie, przypatrując się ufrizowanej w długie loki królewskiej peruce. Przywołał jednak zaraz swą zwykłą śmiałość i odpowiedział:

— Za rany przecie nie bierze się zapłaty.

(d. c. n.)

— Trochę szorstkie i chłodne — odpowiedziała szczerze Cesia.

— W istocie, jest szorstką i chłodną z pozoru — odparła żywo Renia — lecz nie zrażaj się tem... Wierzaj mi, iż w gruncie serca Ludwika jest dobrą, nawet bardzo dobrą.

— Pocieszyłaś mnie — rzekła ze smutnym uśmiechem dziewczynka. — Czy wiesz; zlekłam się jej, powiedziałam sobie: ta mnie stąd wygna, będzie moją złą macochą, a ja nie mam nikogo bliższego na świecie i nikogo już teraz od was więcej nie Kocham. Wprawdzie w Warszawie mieszka ciocia Konstantowa, siostra ojca, ale ja tak mało ją znam. I mateczka nie bardzo ją lubiła, wujka Wąrowskiego zaś bardzo kochała. Czuję, że u was będę się mogła czuć jak gdyby w domu rodzinnym; tu mi wszystko swojskie, a przytem tak pięknie u was, a ja lubię piękne otoczenie i mateczka je lubiła. Pamiętam, nieraz ciocia Konstantowa robiła jej za to wymówki, a potem moja dobra mateczka płakała... Z tobą Reniu łączy mnie tyle dobrych wspomnień w Warszawie uczyłyśmy się razem. Czy pamiętasz tę wesołą Francuskę, naszą pannę Henry, która razem z nami goniła się koło stołu; ciocia Konstantowa próżniakiem ją nazywała i koniecznie mamę namawiała, aby ją oddaliła; aleśmy stanęły tak żywo w obronie Heruni, że została.

— Pamiętam — odparła Renia — kochałam cię bardzo wówczas, byłaś tak uległą, zawsze mi ustępowałaś... Czy i teraz tak będzie?

Czyniąc to pytanie, złotowłosa pieszczocha zajrzała w oczy siostrze.

— Lubię panować — dodała z figlarnym uśmiechem.

— A ja lubię ulegać — odparła Cesia — dziś, zaraz, przysięgam posłuszeństwo mojej królowej, wszakże łatwiej słuchać niż rządzić.

— Jak dla kogo? ja ulegać nie umiem, Kocham tych, którzy robią to, co ja chcę — rzekła Renia.

— Więc mam nadzieję, że mnie kochać będziesz.

To mówiąc, Cesia objęła wpół Renię i pocałowała ją serdecznie, ciemną swoją główkę oparła na jej ramieniu

— Co za sentymentalna poza — odezwała się za dziewczynkami ironicznym tonem Ludwika — przypominam mi Gretchen, Charlotte, oraz inne bohaterki Goethego.

Z temi słowami zbliżyła się do nich i siadła obok na darniowej kanapie.

Cesia, którą Renia usposobiła lepiej dla Ludwika, zwróciła się do niej ze słodkim uśmiechem.

— Sentymentalizm nie jest przecie wadą szkodliwą dla bliźnich — rzekła — może mi pani wybaczy tę wadę, jeśli ją posiadam. Nie byłoby nic dziwnego, gdyby w moim charakterze były pewne cechy germańskie.

Ludwika uśmiechnęła się złośliwie.

— Więc nie zapierasz się pani niemieckiego pochodzenia? — spytała.

— Dla czegoż miałabym się zapierać? ujmy przynosić mi to nie może; a powtóre trudno zapierać się tego, co jest faktem, o czem wszyscy wiedzą. Lecz proszę panią bardzo nie mówić mi pani, tylko Cesiu.

— Cesia Freyden — zaśmiała się Ludwika.

— Luciu, proszę cię, nie obrażaj Cesi — wzięła się do rozmowy Renia.

— Któżby obrażał się o żart, powtóre, ja doprawdy obrażać się nie umiem — odezwała się Cesia.



— Tylko płakać może? czy to także cecha germańskiego pochodzenia? — spytała Ludwika — nie obrażają się też nigdy ludzie szlamazarni.

Tym razem na bladą twarzyczkę Cesi wybiegł rumieniec, a czarne jej oczy gorącego blasku nabrały; lecz ani Renia, ani Ludwika nie mogły spostrzedz po tych oznakach, że w piersi tej dziewczynki bije nie zawsze ciche i uległe serce. Pochyliła się raptem nad klombem lilii, które tuż obok rosły.

— Czy mogę zerwać jedną? — spytała, nie podnosząc oczu — to mój kwiat ulubiony.

I poczęła łamać grubą łodygę, która opór stawiała.

Ludwika podniosła się.

— Pomóż-że jej Reniu — rzekła — z pewnością sama nie potrafi.

To rzekłszy, rozśmiała się i oddaliła.

— Mazgaj, malowana lala, nie lubię takich — mruzczała do siebie, dając spiesznie ścieżyną do domu, gdyż godzina podwieczorku się zbliżała, a ona zajmowała się gospodarstwem domowym we dworze Wąrowskim.

— Co tobie, masz łzy w oczach? — spytała tymczasem Renia Cesię, zbliżywszy się do niej i ujęła ją pod ramię.

Dziewczynka usiłowała się uśmiechnąć.

— Sparzyłam się pokrzywą — rzekła — wrażliwą jestem na cierpienie, pocałuj mnie, to ból złagodzi.

Renia pochyliła się do niej z pieścotą.

— Czy będziesz zawsze dla mnie tak dobrą, jak dziś jesteś? — spytała Cesia.

— Bądź tylko uległą — żartem odparła Renia.

Cesia spuściła oczy.

— Mnie mama tak pieściła — szepnęła tonem żalu wielkiego — tak słodką, łagodną i tkliwą była zawsze ze mną; stąd wrażliwą jestem bardzo na każde szorstkie słowo, chłodny ton, najłżejszą zmarszczkę na cudzem czole spostrzeżoną. „Mimoza“ przeważa mnie maceczka... Jak ciepłarniana roślina potrzebuję ciepła i słońca, by żyć i kwitnąć.

— Postaram się, by ci u nas i słońca i ciepła nie zbrakło — odparła Renia.

Tego dnia Cesia z Ludwiką więcej nie rozmawiała: spotkały się wprawdzie przy podwieczorku i kolacji, lecz pan Wąrowski zabrał głos, opowiadał cały czas siostrzenicy o zwyczajach domowych, aby, jak mówił, wiedziała naza jutrz, co ma robić od samego rana; opowiadał też o sąsiadach, u których bywali. Ze słów wuja dowiedziała się Renia, iż prócz dwóch godzin, w których wspólnie z siostrą miała pracować pod kierunkiem panny Ludwiki, nad językiem francuskim, cały dzień do niej należeć będzie: Miała wieść życie bardzo łatwe. Renia wstawała o ósmej rano, po śniadaniu odbywała przejażdżkę konno, wracała na drugie śniadanie do domu, potem do obiadu grała, lub czytała; po obiedzie do podwieczorku odbywała się lekcya francuskiego, po podwieczorku spacer lub wizyta w sąsiedztwo.

Z uśmiechem na ustach wysłuchiwała tego programu dnia dziewczynka, a gdy ją wuj zapytał, jak się jej podoba, odpowiedziała z uśmiechem swobodnym:

— O, bardzo!

— Życie bogatych panien jest rozkoszne — odezwała się Ludwika z odcieniem ironii — ponieważ do nich nie należę, muszę państwa pożegnać, bo mam nie jedno jeszcze dziś do zrobienia.

I Cesia poszła tego dnia wcześniej do swego pokoju, gdyż czuła się zmęczona podróżą; wuj uściskał ją czule na pożegnanie i młodszą córką nazwał, Renia odprowadziła do sypialni i całując na dobranoc, rzekła:

— Jestem bardzo, bardzo zadowoloną z twego przyjazdu, tęskniłam do siostry i Bóg mi ją dał. Nieraz nudziłam się okropnie bez towarzyszeki.

Wzruszona dobrocią ich obojga, Cesia ukłękła do pańcierzka i gorąco podziękowała Bogu, że jej sierocie zesłał

takich dobrych opiekunów, a potem usnęła prędko, spokojna o przyszłość, której jeszcze wczoraj tak się lękała.

Tymczasem Renia udała się do pokoju panny Ludwiki i zastała ją pogrążoną w posępnym zamysleniu. Złoto-włosa pieśczocho nie bała się nikogo; zmarszczki na czole Ludwiki nie przstraszyły jej; usiadła na niskim taburecie u jej nóg, przechyliwszy wdzięcznie główkę, aby zajrzeć w siwe, ponure oczy swej towarzyszeki i przewodniczki i po chwili odezwała się z uśmiechem:

— Przyszłam z wielką prośbą do mojej Luci.

Ludwika kochała swoją wychowanekę, uśmiech jej, błagalne wejrzenie, usunęły zmarszczki z jej czoła i rozjaśniły spojrzenie. Odgarnęła jasne loki z czoła Reni i spojrzawszy na nią z miłością, rzekła,

— Mów dzieciaku.

— Bądź dobrą dla Cesi — rzekła Renia.

Zmarszczki wróciły na czoło Ludwiki, cofnęła rękę pieśczącą złote włosy swej ulubienicy, lecz nie nie odpowiedziała. Ale pieśczocho się nie zlekła.

— Powiedz mi, co ci się nie podoba tak bardzo w mej siostrzyczce? — zapytała śmiało.

— Wszystko — odparła Ludwika szorstko. — Majątku niema, a stroi się jak księżniczka.

— Tę suknię sprawił jej mój ojciec — stanęła w obronie Cesi Renia.

Lecz panna Ludwika nie zwróciła uwagi na jej słowa i ciągnęła dalej:

— Przyjmuje bez najmniejszego skrupułu łaski bogatego krewnego, z uśmiechem na ustach myśli o tem, jak z tej łaski korzystać będzie, jak będzie wieść próżniacze życie. Sentymentalna, jak każda Niemka, nie wzięła z krwi ojca pracowitości i oszczędności swoich babek, tylko ich słabe strony; po matce odziedziczyła nasze grzechy, zamiłowanie do zbytków i wygodnego życia, lecz dumy szlacheckiej, którą rody nasze się odznaczają, nie posiada ani jednej kropli... Mazgaj i niedołęga z niej skończony, przeskadzać mi tylko będzie w przeprowadzeniu moich zamiarów względem ciebie. Skończyłaś pensję, ale nie sądzę, żebym ci pozwoliła próżnować; powiedziałam sobie, że odpoczniesz pół roku po pracy umysłowej, lecz jesienią, zacznę cię wciągać do zajęć domowych: zrobię cię moją pomocnicą; nudy wsi skłoniłyby cię do pracy i wyrobiłaby się z ciebie dzielna kobieta. Tymczasem przyjechała ta sentymentalna panna, będzie wdychała, opowiadała ci o sobie i odciągnie cię od pracy, a według mnie, kto nie pracuje, ten jest pół człowiekiem tylko!

Renia pokręciła główką i chciała właśnie coś odpowiedzieć, czego Ludwika była bardzo ciekawą, lecz do drzwi ktoś zastukał i spłoszył słowa z ust dziewczynki.

— Kto to? — spytała Renia.

— Proszę wejść — dodała panna Ludwika.

Drzwi się rozwarły, na progu stanęła Marysia.

— Mateuszowa przyszła, chciałaby z panią się widzieć — rzekła.

— Czegoż ona chce ode mnie po nocy? — szorstko odparła Ludwika.

— Musi mieć jakieś zmartwienie, bo łzy fartuchem ociera i wdycha ciężko — rzekła Marysia.

(d. c. n.)

## DROBIAZGI.

Jak daleko słyhać grzmoty. Chcąc wiedzieć, jak daleko od nas szaleje burza i padają pioruny, należy zauważyć czas, jaki upływa między błyskawicą, która dosięga

## NASZE RYCINY.

nas natychmiast, a hukiem grzmotu, który dochodzi nas później, bo szybkość dźwięku jest bezporównania wolniejszą od szybkości światła. Otóż przerwa trzy sekundowa między ujrzeniem błyskawicy i posłyszeniem grzmotu, odpowiada mniej więcej odległości jednej wiorsty. Na lądzie najdalsza odległość, z jakiej grzmot bywa słyszany wynosi około 25 wiorst (przerwa 75 sekund), ale na morzu wpływają nieraz całe dwie minuty między błyskawicą i grzmotem, co świadczy, że słychać tam burzę i z dalszej odległości.

**Drzewo Maryi.** W Egipcie na gruzach przastarego grodu, zwanego Heliopolis, wznosi się dziś nędzna arabska wioska Mattarych, a w niej znajduje się cenna dla nas pamiątka. Pamiątką tą, jest olbrzymia sykomora, licząca kilka wieków, o rozłożystych konarach, obok której płynie przejrzysty strumień. Podług podania, pod drzewem tem, spoczęła Przenajświętsza Rodzina, w czasie swej ucieczki do Egiptu. Wówczas drzewo pochyliło swe konary ku ziemi, i zasłoniło zbiegów przed pogonią Heroda, a owoce jego dostarczyły zgnęczonym podróżnym pokarmu. Woda w strumieniu słona i gorzka, zmieniła się w słodką, jak tylko Dziecię Jezus zanurzyło w niej swą rączkę. Arabowie twierdzą, że dawna sykomora uschła, ale ta, którą teraz podziwiać możemy, wyrosła z suchego pnia tamtej. Drzewo Maryi nawet Arabowie otaczają czcią, sok z niego, służy za skuteczne lekarstwo chorym i paralitykom. Obecnie drzewo to stoi wśród pięknego ogrodu pełnego drzew pomarańczowych i brzoskwiniowych. Ogród ten jest własnością ex-cesarzowej francuskiej Eugenii, ofiarowany jej został w darze, przez byłego kedywa egipskiego, Ismaila. Dochód z tego ogrodu, przeznaczony jest dla francuskich Sióstr Miłosierdzia.

W miejscu zaś, gdzie wypływa cudowny strumień, wznosi się śliczny mały kościółek, otoczony klombami róż i laurów.

**Para butów.** Adjutant Emina baszy, sławnego podróżnika afrykańskiego, kapitan Casatti, zawdzięczał swe ocalenie parze butów.

Wysłany przez Emina do władcy prowincji Unijoro w charakterze posła, został przez barbarzyńców wywiedziony w głąb puszczy i przywiązany do drzewa, aby służył za smaczny posiłek dla dzikich zwierząt. Szczęściem dla niego, przechodziła tamtędy młoda Afrykanka, którą potrafił wzruszyć swemi prośbami tak, że pomogła mu rozwiązać więzy, krępujące go, ale pod tym warunkiem, że jej podaruje swoje buty, które jej się bardzo podobały. Casatti zgodził się bez wahania na ten układ, gdy wszakże później musiał boso przedierać się przez ciernisty gąszcz dziewczęcego lasu, żałował prawie, że takim cennym przedmiotem okupił swe życie.

S. C. B.

**Z widoków Grodna.** Rzeki słowiańskie, będące dopływami Bałtyku, jak Dźwina zach., Niemen, Wisła i Odra, przebiegając kraje płaskie, skąpo są przez naturę uposażone pięknymi widokami, tylko Niemen, przecinający w swoim biegu płaskowzgorze średnio-europejskie, płynie jarem, mającym wysokie krawędzie brzegów, na których pozawieszały się stare zamczyska: Grodna, Liszkowa, Puń, Wielony, Poniemunia i t. d.

Grodno, główne miasto gub. grodzieńskiej, liczy obecnie około 30000 mieszkańców. Istniało ono już od XII-go wieku, Stefan Batory wystawił w Grodnie zamek na miejscu starego zamczyska, przy ujściu rzeczki Norodnicy do Niemna. Od 1673 do 1793 r. odbywały się tam kolejno sejmy. Miasto posiada teraz stację kolejową, gimnazjum, szpital i kilka fabryk. Z widoków Grodna podajemy: kościół farny pod wezwaniem św. Franciszka Ksawerego, wzniesiony w 1633 r. obok domu, w którym umarł Stefan Batory, oraz most kolei Peterbursko-Warszawskiej, wsparty na kilku tak wyniosłych filarach, że wszystkie wiciny i berlinki przepływają swobodnie pod nim, nie potrzebując schylać wysokich swoich masztów. Jest to najwyższy most, jaki znajduje się na dopływach Bałtyckich.

**Wyścigi na stepie meksykańskim.** Mieszkańcy stepów meksykańskich, zwani z angielską *cowboys* (chłopcy od wołów) zajmujący się przeważnie hodowlą wołów i koni, uchodzą w całym świecie za najznakomitszych jeźdźców. Rumaki ich (mustangi) są to konie pochwycone w stanie dzikim i ujeżdżone sposobem, znanym jedynie Meksykańczykom.

Cowboy chwytając konia na łąsku, powala na ziemię, siodła, wsiada i dopiero rozwiązuje mu pęta na szyi. Zwierzę zrywa się, chcąc zrzucić swego ujeżdźacza. Ale daremnie wysiłki! Cowboy, jakby przyrósł do grzbieta końskiego, tarza się z nim po ziemi, ale siodła nie opuści. Po krótkiej walce wyczerpane zwierzę zdaje się na łaskę i niełaskę swego pana.

Na takich to koniach cowboye urządzają wyścigi, które są ich ulubioną zabawą. Trzeba widzieć tych na pół dzikich pasterzy jak pędzą przez step na swych dzikich koniach. Takiego widoku nie nastreczy żaden tor wyścigowy. Zwłaszcza celują oni w nagłym zatrzymaniu konia w pędzie na skraju urwiska lub brzegu rzeczki, gdy jeden krok dalej grozi złamaniem karku lub utonięciem.



### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii kwartalnie zlr. 1 cent. 75 (3<sup>1</sup>/<sub>2</sub> korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

**TREŚĆ:** Bociany (z ryc.) — Z dziejów cywilizacji przez Wł. Umińskiego (c. d.) — Jan Niewdźyd, powieść z dawnych czasów przez Z. Morawską. — Wzajemna pomyłka, powieść przez Teresę Jadwigę. — Drobiazgi. — Nasze ryciny: Z widoków Grodna. — Wyścigi na stepie meksykańskim. — Dodatek: Pszczoły (z ryc.) — Pilny Wojtuś przez A. Z. — Łza matki, wierszyk przez Wł. Belzę — Skrzydła odwagi (c. d.) — Łamigłówki i rozwiązania. — Dodatek książkowy: Trzydzieści lat wśród dzikich, przegrody Ludwika de Rougemont, opracowała dla młodzieży Walerya Marrené.



# WIECZORY RODZINNE



## PSZCZOŁY.

**D**zieci, umiecie wy patrzeć? Nie róbcie tak zdumionych minek, wiem, że powiecie: mamy oczy i patrzymy. Prawda, ale czy myślicie o tem, na co patrzycie?

Jaś wypił swoje mleko na śniadanie i wybiegł do ogrodu, przebiega około kwiatów, nachyla się, aby zerwać piękny liliowy dzwoneczek, nagle słyszy jakieś brzęczenie nad uchem. Przestraszony, odskakuje i patrzy, co to jest?

To pszczołka, choć go tak przestraszyła, nie chce mu przecież nic złego uczynić.

Usiadła spokojnie na kwiatku i zapuściła długą trąbkę w jego wnętrze. Jaś patrzył przez chwilę, znudził się prędko, machnął ręką i pobiegł dalej. Nie zastanowił się nad tem, co pszczołka robić może na kwiatkach?

Pszczołki choć tak maleńkie, lecz na swój sposób rozumne są i zręczne.

Bez pomocy budowniczych budują sobie prześliczne domki o ściankach tak równych, iż nawet na jeden włos nie różnią się od siebie. A wiecie z czego? z wosku, który same wytwarzają. Łapkami zbierają pyłek z kwiatów, mieszają z ciecżą, która zbiera się u nich na brzuszku i z tej masy robią komóreczki woskowe, takie, jakie widzicie w plastrze miodu.

Gdy komórki już zbudowane, pszczołki siadają na

kwiatkach i wyciągają trąbkami sok z kwiatów, który następnie w postaci miodu składają do komórek.

Miód jest więc sokiem kwiatowym. Najlepszy, najśłodszy jest tak zwany lipcowy, zbierany przez pszczoły z kwiatów lipy. Ludzie starsi, którzy patrzeć dobrze umieją, spostrzegli pracę pszczołek, a chcąc ze smacznego miodu korzystać, wymyślili dla pszczołek domki, zwane ulami.

Muszę dodać, że pszczołki żyją gromadami, a kochają bardzo swą matkę, czyli królowę. To też gdy uda się człowiekowi schwycić matkę i zamknąć ją w ulu, cała gromada zwana rojem, pospiesza za nią do ula. Ponieważ pszczołki bardzo są pracowite, zabierają się natychmiast do roboty i tworzą piękne plastry miodu, na widok którego tak błyszczą wasze oczęta.

*Emilia Węslawska.*

## Pilny Wojtuś.

**W**ojtuś jest jedynakiem u wdowy Paprociny.

Przed pięcioma laty, gdy panowała cholera, Paprota chłop silny, młody i zdrow wyszedł do dnia na łąki, i już go do chałupy przynieśli.

Została wdowa i został sierota.

Paprocina rozchorowała się ze zmartwienia, potem chorował długo czteroletni wtedy Wojtuś i co było w chlewku gęsi i kur, co było w skrzynce parę groszy na dnie — wszystko poszło na leki.

Zostało tylko jedno jedyne cielątko.

Paprocina od tej pory dzień za dniem na wyrobku spędzała, a Wojtuś z cielątkiem w chałupie siedział.

Chłopcu zostawiała matka trochę mleka w garnuszku i kawałek chleba. Bydłątku trochę picia w cebrzyku



i kartofli w szafliku. Wojtuś jadł i cielę jadło. Potem brykali na małym ugorku pod lasem; potem znowu na obiad wracali; potem w jednym strumieniu wodę pili.

Wojtuś nabierał ją w ręce, albo w czapkę, albo wprost na ziemię się kładł i usta do strugi przykładał. Cielę nad nim stawało i na wyprzódki: Kto więcej, kto prędzej wypije.

Na wieczór Wojtuś prowadził „Wiśnioszkę” do obórki; niósł jej wiązki świeżej trawy, całował w czoło na dobranoc, gładził, klepał i do izby szedł.

Tu jego znowu matka karmiła, głaskała, całowała, uczyła pacierza i na łóżku, obok siebie kładła.

Tak zeszło lat parę. Z Wiśnioszki zrobiła się Wiśniocha. Z małego Wojtusia — duży Wojtuś.

Wiśniocha garniec mleka już daje. Wojtek izbę uprzątnie, matce wody przyniesie, drzewa uzbiera, kartofli uszkrobie. Oboje więc podrosli, ale kochają się jednakowo. Krówka do Wojtusia zdaleka jeszcze ryczy, a Wojtuś i kawałkiem chleba z nią się dzieli.

Krówka jednak, została tylko krówką i do końca już życia nie będzie ni lepszą ni mądrzejszą, jak dzisiaj.

Ale Wojtuś tymczasem, coraz to się odmienia.

Urodziwszy się niemowlęciem umiał tylko jeść, spać i płakać. Jako małe dziecko nauczył się bawić. Jako starszy zaczął matce pomagać, a teraz? Spójrzycie na obrazek.

Sama krowa stoi i nadzieić się nie może, że Wojtek ani spojrzy na nią. A ona wcale nie rozumie, że chłopiec się uczy.

Słońce świeci, strumień płynie, kwiaty pachną, ptaki śpiewają — tylko się po trawie tarzać i piękne powietrze wdychać. I Wojtek ma do tego ochotę, ale czuje też dobrze, że uczyć się trzeba, że człowiek piśmienny, a nie piśmienny to wcale co innego.

Bogaty, cioteczny jego brat do szkoły chodzi i z wielkiej łaski litery mu pokazuje.

Jaki mu Wojtek za to wdzięczny, wy nie pojmiecie nawet, wy szczęśliwi, którym tak ułatwiają naukę, a która was często tak nudzi.

Wojtkowi powiedziała matka: „Jak na książce będziesz umiał i napisać potrafisz, to se i radę w świecie dasz i Boga lepiej pochwalisz i ludzie cię uszanują.” A Wojtek święcie matce wierzy.

Na szyfrowej tabliczce, co mu w mieście kupiła, jak może tak litery kreśli, jak może tak liczby stawia i o tem tylko myśli, aby do zimy elementarz przeczytać.

No dzieci, przypatrzcie się jeszcze Wojtusiowi, bo warto.

A. Z.

## Lza matki.

Mama płacze... łezki  
W ukryciu ociera,  
Anioł je niebieski,  
Na skrzydełka zbiera.

Zbiera skrzętnie, rozrzucony  
Klejnot po klejnocie  
I sam oto zasmucony  
Płacze przy robocie.

A jak zbierze — wnet polecie  
I na wadze zważy,  
I na krnąbrne i złe dzieci  
Bogu się poskarży.

A lżę matki nie tak łatwo  
Obmyć przeproszeniem,  
Bo lża taka, droga dziatwo  
Zaciąży kamieniem.

I na serce twe zuchwałę  
Co smuciło mamę,

I na życie twoje całe  
Wieczną rzuci plamę.

I Bóg ciebie zagniewany  
Wypuści z opieki...  
I Stróż Anioł zapłakany  
Odleci na wieki!

I choć mama ci przebaczy  
Ciężkie lży goryczy  
Bóg osądzi je inaczej,  
I każdą policzy.

Zła to dziatwa i bezbożna,  
Która mamę smuci!  
O, bo wszystko wrócić można  
Lecz lżę nikt nie wróci.

Wł. Bełza.

## SKRZYDŁA ODWAGI.

(Dalszy ciąg.)

VIII.

Tego samego jeszcze dnia Marcinek zamieszkał w pałacu; przeznaczono mu ładny pokoik na górze, skąd mógł się przypatrywać pięknej okolicy. Po jednej stronie domu, zbudowanego na wzgórk, rozciągała się dolina umajona zielonością bujnych łąk, przetrzęta bystro płynącą rzeką; po drugiej w dali przebłyskiwały wody mroza wśród pagórkowatych wybrzeży. Marcinek za pomocą lunety umieszczonej na wieży pałacowej, szukał szczytów znajomej sobie skały i rozpoznał ją z łatwością. Potem dostrzegł wioskę, a w niej dom rodzicielski z dachem słomianym. Chłopca radowała możliwość przypatrywania się wszystkiemu dokładnie z tak znacznej odległości, dzięki cudownej lunecie.

Nazajutrz, gdy po raz pierwszy wszedł do obszernej pracowni, w której odtąd większą część dnia miał przebywać, ucieszył się, znajdując w niej wszelkie potrzebne przybory przysłane przez aptekarza.

Drzwi z pracowni prowadziły do gabinetu zoologicznego, zastawionego dookoła szafami oszklonemi, w szafach ustawione rzędami wypchane ptaki, budziły wielką ciekawość Marcinka. Przyglądał się im z zajęciem, gdy do gabinetu wszedł baron.

— Panie baronie — odezwał się chłopiec nieśmiało — ptaki źle są rozstawione, ten mały ptaszek dla tego chyba znajduje się w tej szafie, że równy wzrostem ze

stojącymi na tej półce. On powinien stać obok tamtych, większych ptaków, gdyż należy do tej samej co one gromady, ma taki sam kształt dzioba i żywi się temi samemi pokarmami. Znam te gatunki dobrze, bo je widywałem na wybrzeżu.

Barona zadziwiły trafne uwagi chłopca, który z całym zapałem wziął się do nauki; wprędce umiał już na pamięć nazwy wszystkich zagranicznych i krajowych ptaków, znajdujących się w gabinecie; chciał jeszcze czytać po łacinie dzieła odnoszące się do historii naturalnej. W niedziele, korzystając z wolnego czasu, chodził na plebanię ptaki wypychać, a za to proboszcz uczył go łaciny.

Po roku czasu mógł już czytać wszystkie dzieła naukowe, a zajęty wypychaniem zwierząt, odnawianiem uszkodzonych w gabinecie okazów, marzył tylko o podróżach, wynalazkach i odkryciach naukowych. Myślą jednak często się wracał do pustelni na skale; im więcej używał wygod w pałacu, tem więcej tęsknił do twardego łoża na ławie kamiennej, do zapachu dzikich ziół, do śpiewu nadmorskich ptaków. Wspomnienie dawnych skrzydlatych przyjaciół, żalem mu często serce ścisnęło.

— Co porabiają teraz towarzysze samotności mojej? — pytał w duchu. — Gdzie figlarne sroki naśladujące głosy zwierząt? Gdzie wielki bąk odzywający się rykiem bydła? Gdzie wesołe czajki przypominające ochryply głos krawca? Gdzie śliczne kuligi, których słodki szczebiot przyzywał mnie w ciemne noce i obdarzał skrzydłami odwagi?

Marcinek oczywiście nabrawszy rozumu, nie wierzył w przemawiające napowietrzne duchy, ale nie mniejsze cuda, dowodzące wszechmocności Stwórcy, odnajdywał w zjawiskach przyrody.

Gdy skończył piętnasty rok życia, zapragnął opuścić służbę u barona i lat kilka poświęcić nauce i podróżom. Czuł się przytem niezdrów, twarz mu pobladła, potrzebował odzyskać swobodę, a lubo szczerze do swego pana przywiązany, oświadczył, że dłużej u niego pozostać nie może, i że ma zamiar puścić się w podróż daleką, z której obiecywał przywieźć dużo rozmaitych okazów na zbogacenie pałacowych zbiorów.

Baronowi przykro było, że Marcinek chciał go porzucić, pragnął zatrzymać go dłużej u siebie, obiecywał podwyższenie pensyi. Marcinek całował ręce swego dobrego pana, zapewniał, że zawsze będzie go kochał i szanował, ale dłużej nie mógłby wyżyć w takim zamknięciu, że podobnie jak ptaki, potrzebuje swobody i powietrza.

Baron widząc tak mocne postanowienie chłopca, pożegnał go czule i do wypłaconych zasług, pewną kwotę w dodatku na drogę dołączył. Marcinek odsunął pieniądze, a prosił w zamian o pożyczanie lunety i potrzebnych narzędzi do czynienia doświadczeń; baron natychmiast żądane przedmioty ofiarował mu na własność.

Rozrzewniony taką dobrocią Marcinek, objął kołana swego dobroczyńcy, obiecując zrobić poświęcenie z własnych upodobań i powrócić po tygodniu na dłuższy pobyt do pałacu. Baron uściskał chłopca serdecznie i zaopatrzył we wszystko na ośmiiodniową wycieczkę.

W pogodny, wiosenny poranek, Marcinek, po jednodzielnym dniu spędzonym z rodzicami, puścił się w po-

chód ku skałom nadbrzeżnym. Zajęty pracą, w chwilach wolnych ucząc się pilnie u proboszcza, chłopiec nie miał czasu na przyjemności dalszych przechadzek i nie widział oddawna wzgórz nadmorskich, a pragnął przekonać się naocznie o spustoszeniach, jakie morze w ciągu trzechletniej jego nieobecności poczyniło, słyszał o znacznym podmyciu brzegów przez wodę.

Ubrany w katankę chłopską, grube buty i czapkę wełnianą, z workiem podróznym na plecach, w którym mieściły się: narzędzia, luneta, parę tomów książek historii naturalnej i trochę żywności, Marcinek z niemałym trudem dostał się na wybrzeże, miejscami zavalone kamieniami, lub zalane błotnistym mulem. Wszędzie z żalem spostrzegał zmiany, jakich czas dokonał w jego ulubionej niegdyś siedzibie; na miejscu gdzie rosła bujna trawa, potworzyły się bagniste sadzawki, gdzieindziej grunt piaszczysty pokrył się zielonością, wydeptane przed laty ścieżki, znikły bez śladu, a oderwane bryły skał zagradzały wejście do pustelni.

(d. c. n.)

---

### ZAGADKA 1-a.

p. Wichurę.

Czytaj wprost, stoję w zwierząt rzędzie.  
Czytaj wspak, imię z biblii będzie.

---

### ZAGADKA 2-ga.

E. L.

Rodzę się w świetle, a ginę w mroku,  
Żadnych barw nie mam na sobie,  
Znajdziesz mnie we dnie przy swoim boku,  
Bo ciągle jestem przy tobie.  
Raz wydłużony, to znowu sztywny,  
Kroczę wciąż razem i razem,  
Lecz chociaż ciemny i taki dziwny,  
Twoim jam przecież obrazem.

---

### LAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.

Od Ż. dla kochanych Rodziców.

1 . . . . .	W kwadracie o 7 przedziałkach
. 2 . . . . .	ułożyć wyrazy, którychby litery
. , 3 . . . . .	oznaczone liczbami, złożyły na-
. . . . 4 . . . .	zwę pięknej miejscowości pod
. . . . . 5 . . . .	Warszawą. Znaczenie wyrazów:
. . . . . 6 . . . .	1) Dopływ Wilii. 2) Rzeźbiarz
. . . . . 7 . . . .	grecki. 3) Rodzaj poezyi. 4) Ple-
	mię indyjskie w Ameryce. 5)

Zbiór botaniczny. 6) Dostojnik państwowy. 7) Miasto nad Dnieprem. Sylaby: bal—by—fi—hi—da—dyasz—i—la—lej—lew—ka—ka—mo—nik—na—wi—ra—se—tor—ziel.

## ŁAMIGŁÓWKA KROPKOWANA.

B.ł dz..ń p.tr.n., .r.cz.st. św..t..  
 K.mt.r. z Br.óm. d. st.l.cy j.d.ą;  
 B..ł. ch.r.gw.. n. w..ż.ch z.tkn..t..  
 K.nr.d r.o.rz. m. .czc.. b..s..d..  
 St. b..ł.ch pł.szcz.w p.w..w. z. st.ł.m  
 N. k.ż.d.m pł.szcz. cz.rn. s.. krz.ż dł.g.:  
 T. b.l. br.c.; . z. n.m. k.ł.m  
 Mł.dz. g..rmk.w.. st.j. dl. p.sł.g..

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 26.

Zagadki 1-ej: Anna. Zagadki 2-ej: Samogłoska A.

### Łamigłównki sylabowej:

1) Jordan. 2) Aryston. 3) Nubia. 4) Korfu. 5) Owahi.  
 6) Cekrops. 7) Henryk. 8) Alpy. 9) Neapol. 10) Ostracyzm.  
 11) Wilia. 12) Storczyki. 13) Kolumb. 14) Ilmen.

Jan Kochanowski.

### Niteczki Aryadny:

Nie z kory, lecz z owocu drzewko się poznaje,  
 Nie suknia, lecz uczynek wartość człeku daje:

## Skrzynka do listów.



Trudno nam uwierzyć, a jednak prawdziwą jest podobno wiadomość, że pewna panienska imieniem **Marysia**, tak mało niestety ma zamiłowania w porządku, iż wszystkie jej książeczki i zeszyty, a nawet ulubione jej „Wieczory,” są poplamione i podarte. Jakże się to dzieje? Czyżby Marysi nie było wiadomem, że ład i porządek są podstawą szczęścia całego życia, a już niezbędne są dla kobiety, na którą, mała teraz jeszcze dziewczeczka, kiedyś przecie wyrośnie. A może Marysia myśli sobie, że to tylko drobnostka jakaś tam książeczka lub zeszyt, że w większych rzeczach i gdy już będzie starszą, potrafi utrzymać porządek. Otóż mylisz się, dziecko kochane. Z drobnostek całe nasze życie się składa, a czego się nie nauczysz za młodu, do tego później tym trudniej się nagiąć. Niech ci za przestrożę w tym względzie służy owe drzewko, które nie przywiązane do palika, wyrosło krzywo i krzywym też pień jego na zawsze już pozostanie! Jakże nas ucieszy wiadomość, której z niecierpliwością oczekiwaliśmy, że Marychna dokłada starania, by nabyć zamiłowanie do porządku. A może ona sama nam o tem wkrótce doniesie?..

**Bursztynowi z nad Bałtyku**, który odezwał się do Jaskółki, jako też wszystkim jej przyjaciółom odpowiadamy w jej imieniu,

wiedząc, że zbyt długie oczekiwanie odpowiedzi na wysłane listki ostatecznie przykre by im było. Za ofiarowane przez Burszty-  
 na i jego siostrzyczkę 3 rub. na Kolonie, w imieniu biednych dzieci serdecznie dziękujemy. Spodziewamy się też, że nie zabraknie ci ochoty do prowadzenia nadal rozpoczętej korespondencji. Łamigłównki przejrzymy i oddamy do druku, o ile okażą się odpowiednio, tymczasem zachęcamy do układania innych skoro ci to przychodzi z łatwością

List, w którym **Wisienka** opowiada nam o żywej przyjemności jaką znajduje w czytaniu „Wieczorów” był nam wielce miły, bo wszakże owo zainteresowanie czytelników treścią i kierunkiem naszego pisma, jest celem naszej pracy i usiłowań. Musi też Wisienka lubić naukę, skoro jest już odpowiednio do swego wieku w dość wysokiej klasie, więc też życzymy jej z całego serca urzeczywistnienia zamiarów i planów o jakich wspomina, a dopełnienia obietnicy częstszej korespondencji oczekiwania będziemy. Nadesłane rozwiązania dobre, a może w wolnej chwili spróbuje kiedy Wisienka ułożyć własnego pomysłu łamigłównki. Nie tak to znowu trudna rzecz, jakby się pozornie zdawało.

O cenie książek, o które zapytuje **Kadłubek** dowiedzieć się może w naszej Redakcyi. Co do wierszyka: „Kolek bronowy” to o ile nam wiadomo, w żadnym zbiorze wypisów poezyi, wydanych w kraju, wierszyk ten się nie znajduje.

Skoro dawny nasz przyjaciel **Kryształek**, ma ochotę przybrać nowy pseudonym nie mamy nic przeciwko temu, tem więcej, że nowo — obrany jest równie sympatyczny. Przyjemność jakiej doznałeś w odebraniu przesłanej książeczki cieszy nas i w oczekiwaniu następnego listu pozdrawiamy cię serdecznie.

Pewni jesteśmy, że listek, w którym **G.** po raz pierwszy odzywa się do nas, jest zapowiedzią wielu innych, w których nam doniesie cośkolwiek o swych naukach, rozrywkach i t. d., bo wszystko co dotyczy naszych czytelników, zajmuje nas szczerze.

Każdy dzień, który jakieś biedne warszawskie dziecko przepędzi w zdrowym powietrzu na wsi, dzięki ofercie **Ani, Geni i Ludwini G.** oraz **Iskierki, Chochlika i Bratka**, będzie im z pewnością policzony, bo wszakże powiedział Chrystus: „Cokolwiek uczynicie dla jednego z tych maluczkich, mnieście uczynili.” Zbiorowy listek ostatni, odczytaliśmy z prawdziwą przyjemnością i chętnie zaznajomimy się z dziełami, o których kotek **Mru-czysław** wraz z figlarną **Milutką**, niejedną dobrą udzieliłby mogli wiadomość, jak to z ich wesołych oczek domyślić się łatwo. Że z przyjemnością czytacie „Wieczory,” bardzo nas cieszy. Łamigłównkę przejrzymy i o ile okaże się możebne, wkrótce oddamy do druku. W oczekiwaniu następnego listu, pozdrawiamy was szczerze.

**Zosia J.** musi rzeczywiście używać wakacji w całej pełni, gdy nawet listek jej z widocznym napisany jest pośpiechem. Na teraz nie bierzemy jej tego za złe, niechno tylko te wesołe wakacje dużo jej zdrowia i sił dadzą.

**Różowa Chmurka** sprawiła nam swym długim starannym listkiem prawdziwą przyjemność. Jakkolwiek dokładność i akuratność w każdej naszej czynności cennymi są zaletami, jesteśmy wszakże wyrozumiali, jako prawdziwie przyjaźni dzieciom, na pewne drobne pomyłki i zapomnienia. Siostrzyczki twe **Ginę** i **Basię** pozdrawiamy, życząc wam wszystkim wraz z bratem, poważnym uczniem 1-ej klasy, dużo przyjemności przy pięknej pogodzie.

Proście **Ś.** uczynimy zadość, a następnych listków oczekiwaliśmy będziemy.

### NA KOLONIE LETNIE ZŁOŻYLI:

Zosia Balińska rub. 3. — Śnieżycza rub. 1 — Dzieci z Mąskolina rub. 3 kop. 20. — A. Sokołowski kop. 50. — I. Derewojed rub. 3. — Bezimiennie kop. 50 — Edmund Nowodworski rub. 3. — Iskierka, Chochlik i Bratek rub. 5 — Ania, Genia i Ludwina G. rub. 4. — Zosia z rodzeństwem z Iwankowiec rub. 4. — Janina Koplewska rub. 5 — Lucio i Oleś O. kop. 70.